

Epilog sporu o Białowieżę

EPILOG SPORU O BIAŁOWIEŻĘ.

Kiedy przed szesnastu miesiącami postawiliśmy szereg zarzutów naczelnikowi zarządu dóbr państwowych w Białowieży, panu Janowi Szredersowi, zgrał jego pomocników oraz sprzysiężonemu z niemi żydowsko leśnemu arendatorstwu, powstała przeciwko nam wszelaka protekcja, wszelakie znajomkowstwo, słowem to wszystko, co z urzędnika Rzeczypospolitej czyni klienta oszustwa, protektora wszystkich siedmiu grzechów głównych, raubrittera, oraz cynika oplecanego przez naród i dorabiającego się na tym narodzie — zaś *Przegląd Leśny*, wydawany przez pana Tadeusza Łuczyckiego nie bez wiedzy Departamentu Leśnego Ministerjum rolnictwa i dóbr państwowych pisał:

„Piszący te artykuły padli ofiarą najzwyczajniejszego szantażu i byli tak nieostrożni, że przyjmowali słowa kolumniatorów jako złotą prawdę. P. W. Rebski z „Kurjera Warszawskiego” zorientował się szybciej, że został w błąd wprowadzony i po artykule o „starym żubrze”, bardzo napaściwym, bardzo ogólnikowym, ale też i zupełnie fałszywie informującym opinię publiczną, już więcej do tego tematu nie powrócił. Natomiast więcej impulsywny p. A. Niemojewski przez dłuż-

szy czas nie przestawał atakować jak cały Zarząd dóbr państwowych w Białowieży, tak też szczególnie pp. Szredera, Dymarę i Henszla”.

Otóż dzisiaj moglibyśmy odpowiedzieć w te mniejwięcej słowa:

Szanowny Panie Tadeuszu Łuczyński! Zanim poseł Władysław Rabski przejdzie do senatu, a my uspokoiimy się kiedyś z wiekiem i Opatrzność wynagrodzi nas za to jakim takim skrawkiem lasu, z innej niż *Przegląd Leśny* rekomendacji zamówimy leśników i gajowych. Będzie las, nie będzie nas—powiada przysłowie. A Polska zawierzywszy tylko przez rok Twojej protekcji wyszła na tem jak Zabłocki na mydle!

— *Acta est fabula*—wyrzekł cesarz August na łożu śmierci. My zaś wygrywamy nie życie, lecz dobro najwyższe: własność Rzeczypospolitej.

Z Białowieży powróciła komisja wysłana przez p. Moskalewskiego celem zbadania gospodarki w tamtejszych lasach państwowych. Wskutek jej raportu naczelnik lasów w Białowieży natychmiast podał się do dymisji. Albowiem jak pisze poseł Władysław Rabski (Kurjer Warszawski z 1-go grudnia), który posiada odpis sprawozdania, w puszczy „wszystko tu czyło się mieniem państwowem, wszystko, od najniższych do najwyższych szczebli administracji, opanowane było przez zgraję oszustów i złodziei”. Służba leśna została zupełnie uzależniona od kliki wielkich spekulantów, którzy bezczelnie łamali kontrakty i kradli. Umowy o kupno i wyrąb redagowano tak chytrze, tak elastycznie i dwuznacznie, że już w założeniu nie dawały rękojmi faktycznego wykonania. Wbrew przepisom kontraktów, zawartych z niektórymi przedsiębiorcami, zarząd Białowieży nie przeprowadzał rewizji cen. W lutym 1922 r. w nadleśnictwie wołkowyskiem pobrano opłatę 13 062 457 mp., według zaś obowiązującej taksy pobrać należało 36 811,836 mp. Gdy Zarząd otrzymał z Warszawy rozkaz, że cena papierówki ma być od 1-go lipca podwyższona, nagle sprzedał jednemu z handlarzy żydowskich dużą partję papierówki po starej cenie. Słowem, „przy bliższem a bezstronnem badaniu białowieskiej gospodarki leśnej odnosi się wrażenie, że puszcę eksploatuje nie skarb, lecz przedsiębiorcy na własną korzyść”.

Ostatnie słowa Władysław Rabski cytuje według urzędowego protokołu.

A zatem pan Jan Szreders, zlekceważywszy stanowisko przedstawiciela interesów państwa, poczynił sobie jak plenipotent żydów Benjamina Krygiera, Mejera i Tewja Krugmanów, Kraśniańskiego, Reznika, oraz całej sfery pomniejszych aferzystów, którzy posiadając olbrzymie środki materialne i rozległe stosunki, czerpali ze skarbu państwa jak z dziurawego worka, drwili z wszelkiej kontroli, sztydzili z wymiaru sprawiedliwości. Po naszych alarmujących wystąpieniach i artykule posła Rabskiego wyruszył przed rokiem do Białowieży na czele komisji międzyministerjalnej pan Mieczysław Dębski, ale niby odrestaurowanego na sposób słowiański Wagnera oczarował go szmer lasu, dziewiczość puszczy, może jakieś przydrożne nimfy... Dość, że jego urzędowe sprawozdanie stwierdziło zaledwie „poważniejsze nieprawidłowości w pracach zarządu”, które stały się „przedmiotem badań w Ministerjum rolnictwa i dóbr państwowych, a w rezultacie miały posłużyć „do usunięcia braków w organizacji zarządu i eksploatacji puszczy”. I rzeczywiście. Usunięto z zarządu pana Michała Dymśkę, przeniesiono do jakiegoś spokojniejszego kąta pana radcę prawnego Juljana Terlikowskiego, przytarto rogów panu inspektorowi lasów białowieskich, Ludwikowi Henszłowi, który w imieniu zainteresowanych urzędników bielił honor pana Jana Szredersa po gazetach, białowieskiemu „carstwu na sławu, na strach wragam”. Ale sam pan Jan Szreders pozostał na stanowisku. Pozostał jako symbol zasady „ręka rękę myje, noga nogę wspiera”, jako bożek nietykalnej mafii urzędniczej, jako ostoja biurokratycznej rosyjsko-austrjackiej papierni, która chciała budować z zarekwirowanego po okupantach materiału dach dla Polski na czas burzy, wichrów i deszczów.

Nastaly deszcze i burze. Polacy nie starczyło cierpliwości dla sztuk wyzwolonych. Zjawił się niby *deus ex machina* komisarz oszczędnościowy, pan Moskalewski. I to wszystko razem zmiotło pana Jana Szredersa, jak dotychczas topory żydowskie zmiotły w Białowieży jesiony zamiast świerków, a kornik niszczył jedynie co przedniejsze dęby...

Lecz mija wichry i mija burza.

To są słowa Henryka Sienkiewicza. Natomiast Erazm Rotterdamski w swych „Księgach o języku” powiedział:

— Miasto prześladowania upadów albo występów bliźniego, język twój niechaj czyni pilność a pracę, abyśmy to zleczyć mogli!

A więc zanim osłabnie polski *furor quam bello* przeciwko burzeniu państwa od wewnątrz, zanim jak wichur, burza przeminie komisarz oszczędnościowy, pan Moskalewski, wysnuwacie, o mężowie stanu, wnioski z własnego dzieła!

Nie pan Dymsza, nie pan Henszel, wreszcie nie pan Szreders stanowią fundamenty zła, które z polskiego przemysłu leśnego stworzyły operetkę na śmiech angielskiego funta szterlinga i amerykańskiego dolara. Kiedy już brała nas rozpacz, że Polska nie może sprostać dowcipowi oraz pewności siebie panów Dymszów, Henszlów i Szredersów, rozejrzeliśmy się po całym obszarze Rzeczypospolitej, od Karpat do Dźwiny, od Horynia do Bałtyku. I oto uirzeliśmy „Lasy pod Samborem” (Nr. 680 Myśli Niepodległej), a niebawem Ministerjum rolnictwa i dóbr państwowych dostrzegło „wysocę niszczytelką prywatną gospodarę leśną na terenie województw Małopolski oraz opieszałość władz administracyjnych w postępowaniu przeciwko winnym tej działalności”. Zauważyliśmy prze frymarczenie puszczy Nalibockiej przez polskich hrabiów żydowi Cyryńskiemu z pominięciem podstawowych przepisów o podatkach i opłatach skarbowych (Nr. Nr. 679—682 Myśli Niepodległej), a wnet całe ziemiaństwo wileńskie zawołało: Hula! — i napiętnowało sprzedawczyków na swym walnym zjeździe. W Nr. 624 z dnia 30-go września nie uszło naszej bacności jak drzewo z nadleśnictwa Chylonja na Pomorzu przeznaczone dla portu w Gdyni wędrowało dzięki zarządowi lasów w Głańsku na rynek Wolnego miasta, tej przystani rujnującego Polskę paskarstwa. To znowu w Nr. 636 i dalszych wspominaliśmy o machinacjach Dyrekcji lasów państwowych w Toruniu z niejakim Wojciechem *vel* Adalbertem Goldschmidtem z Czerska, który w 15 nadleśnictwach ograbił rząd polski z karpiny po 20 — 30 marek za metr, gdy cena właściwa dochodziła już do 7150 marek.

Otóż nad całą tą korupcją leśną czuwał z ramienia Rzeczypospolitej nie zdegradowany pan Dymsza, Henszel, lub

Szreders. A nawet nie okolicznościowy kontroler sejmowy, pan Mieczysław Dębaki, któremu lada wiatr ciskał piaskiem w oczy. Czuwała osobistość bardziej władna i dla zwyczajnych śmiertelników niedosiężona.

Jeśli z nazwisk premierów, z których każdy po swojemu chciał zbawić Polskę, moglibyśmy ułożyć nowy Almanach Gotajski, a zawołania zwyczajnych ministrów uchylają się od wszelkich wyliczeń niby pomniejsze ciała astronomiczne, posiadamy wszelako pewną wartość niezmienną, swego rodzaju miernik złoty naszej naiwności i nieudolności administracyjnej. Historia ministrów odpowiedzialnych za bieg spraw państwa przed sejmem i narodem jest zazwyczaj krótka. Minister wygłosił *exposé*, otrzymał *votum* nieufności i *finita la comedia*. Czasami zaś wogóle nie zdążył się wysłowić — z jednakim rezultatem. Natomiast daleko rzadziej zdarzają się przesilenia na niższych szczeblach hierarchji urzędniczej. W pewnej francuskiej grotesce scenicznej występuje minister, urzędujący przez trzy dni, a którego przez cały czas rządzenia zastępuje woźny ministerjalny zadomowiony w Ministerjum od lat trzydziestu. Politycy „z fachu” powiadają sobie na ucho, że nawet Trocki nie poradziłby sobie tak łatwo z bolszewikami, gdyby imperatorska Rosja nie urobiła specyficznego typu „stołnaczyłników”. Lecz znowu ideowcy wszelkich prądów politycznych zwalają niepowodzenia na swych naczelników stoła. *Est modus in rebus*. Każdy ustrój, nawet parlamentarny, posiada swoje fundamenty.

Nawet korupcja leśna.

Nie chcemy przez to rzucić na nikogo nieusprawiedliwionego podejrzenia, ani tembardziej szczepić zarazki podejrzliwości do serc i bez wszystkiego nadto podejrzliwych obywateli. Ale jesteśmy zwolennikami realizmu w sądach. Według rozporządzenia Rady ministrów z dnia 23 listopada 1920 roku (Dziennik Ustaw 1920 Nr. 114 pozycja 753) zarządy okręgowe dóbr państwowych posiadają prawo samodzielnego zawierania umów do 3.000 metrów sześciennych drzewa użytkowego, 8.000 metrów drzewa opałowego, lub 800 metrów sześciennych materiałów tartych. O wszystkich umowach ponadto, chociażby redagowanych „chytrze, elastycznie, lub dwuznacznie”, winien wiedzieć Minister rolnictwa i dóbr państwowych usu-

walny na zasadzie Konstytucji, a w każdym razie Dyrektor departamentu leśnego, nieusuwalny na zasadzie pragmatyki urzędniczej. Z tak wysokiego stanowiska trzeba widzieć jednakowo dobrze i Białowieżę, i Sambor, i Naliboki, i Gdańsk, i Toruń. Minister niekiedy niema czasu rozpatrzeć się nietylko w widnokręgach, lecz nawet we własnej sytuacji. Natomiast pan Dyrektor departamentu może, musi i powinien.

— Skoro nie potrafisz, nie pchaj się na afisz!

Tak uczy przysłowie.

Tak chce pragmatyka urzędnicza.

Tak wreszcie moralizuje zdrowy rozsądek.

I tego domaga się społeczeństwo.

Zmieniały się w Polsce orientacje polityczne, ustępowali jeden po drugim ministrowie rolnictwa i dóbr państwowych, ale trwała bez przerwy korupcja leśna i królował na swym posterunku Dyrektor departamentu leśnego, pan Miklaszewski. Państwo dokładało do swych majątków olbrzymie sumy. Skarb, niby Towarzystwo kredytowe ziemskie łożył póki mógł na jego hipotekę. Aż wreszcie miara się przebrała. Zastukał do wrót gospodarstwa komornik uosobiony przez komisarza oszczędnościowego, p. Moskalewskiego. I cóż się okazało? Oto, że plenipotent gospodarza jest w najlepszym razie fujarą, niedołągą, słomianym strachem na wróble, którego wyprowadza w pole każdy, komu się podoba, oszukuje jak umie i okrada jak może. Synderstwo, wstyd i skandal. A państwo-właściciel, zamiast uczynić radykalny porządek z plenipotentem, szuka po gumnach winnych złodziejstwa parobków!

To trochę zamało. Zamało nawet na epilog sporu o Białowieżę.

Jeśli praca p. Moskalewskiego nie ma iść na marne, jeśli dla skarbu mają przyjść lepsze czasy, a dla Polski piękniejsza przyszłość, nie dość jest zabić przygodną żmiję w puszczy. Idźcie dalej w zapadłe ostępy. Chociażby na ich końcu widniała jasna polana...

—————